

Miejsce na identyfikację szkoły

# ARKUSZ PRÓBNEJ MATURY Z OPERONEM JĘZYK POLSKI

POZIOM ROZSZERZONY

LISTOPAD  
2012

**Czas pracy: 180 minut**

## Instrukcja dla zdającego

1. Sprawdź, czy arkusz egzaminacyjny zawiera 8 stron. Ewentualny brak zgłoś przewodniczącemu zespołu nadzorującego egzamin.
2. Wypracowanie napisz w miejscu na to przeznaczonym.
3. Pisz czytelnie. Używaj długopisu/pióra tylko z czarnym tuszem/atramentem.
4. Nie używaj korektora, a błędne zapisy wyraźnie przekreśl.
5. Pamiętaj, że zapisy w brudnopisie nie podlegają ocenie.
6. Możesz korzystać ze słownika poprawnej polszczyzny i słownika ortograficznego.

*Życzymy powodzenia!*

Za napisanie  
wypracowania  
można otrzymać  
łącznie **40 punktów**.

Wpisuje zdający przed rozpoczęciem pracy

--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--

**PESEL ZDAJĄCEGO**

--	--	--

**KOD  
ZDAJĄCEGO**

**Tworzenie tekstu własnego w związku z tekstem literackim zamieszczonym w arkuszu  
Wybierz temat i napisz wypracowanie nie krótsze niż trzy strony (około 250 słów).**

**Temat 1. Literackie obrazy pogody. Dokonaj analizy i interpretacji podanych fragmentów,  
zwróć uwagę na funkcję języka w budowaniu nastroju.**

**Władysław Stanisław Reymont, *Chłopi* (fragment)**

Burza rozsrożyła się już na dobre, niebo posiniało kiej wątroba, kurz zakotłował wielgachnymi kłębami, topole z jakimś szlochaniem i krzykiem przyginały się do ziemi, zawyły wiatry i jeły coraz zapamiętałej walić się na zboża pierzchające we wszystkie strony i rycząc kiej byki zjuszone, rypnęły w lasy zwarte, rozchybotane i wniebogłosy szumiące.

Grzmoty już szły za grzmotami, przewalając się z hurkotem wskroś całego świata, jaże ziemia dygotała i chałupy się trzęsły.

Zwite kołtuny miedzianogranatowych chmur zwiesiły nisko spęczniałe opuchłe kałduny i coraz to któraś się rozpekła, trzaskał pierun i buchały potoki oślepiającej jasności.

Niekiedy sypał rzadki grad trzeszcząc po liściach i gałęziach.

A w sonej ćmie dnia, kurzawy i gradów targały się rozpaczliwie drzewa, krzaki i zboża jakby rwiąc się do ucieczki, ale bite wichurą ze wszystkich stron, ślepione piorunami, obłąkane hukiem, kręciły się jeno i szarpały z dzikim poświstem, a kajś z wysoka, przez chmury, ciemnicę i rozwieję przelatywały modre łyskawice, leciały niby stado węzów ognistych, leciały wyrwane skądś i nie wiadomo kaj ciskane, leciały migotliwe a zagubione, oślepiające wszystek świat, a ślepe i nieme kiej dola człowiekowa. I trwało tak z przerwami do samego wieczora, dopiero na samym zmierzchu całkiem się uspokoiło i przyszła noc cicha, ciemna i chłodnawa.

A nazajutrz dzień podniósł się bardzo cudny, niebo było bez chmur i modrzało kiej opłukane, ziemia polśniewała rosami, śpiewały radośnie ptaki, a wszelaki stwór pławił się z lubością w rzeźwym, pachnącym powietrzu.

W. S. Reymont, *Chłopi*, tom IV, Wrocław 1999, s. 669–670.

**Jarosław Iwaszkiewicz, *Brzezina* (fragment)**

Trzy następne dni, przez które deszcz lał bez najmniejszego przestanku, były najszcęśliwszymi dniami w życiu Stasia. Harmonia świata, która mu się odkryła tego wieczora – przyprowadziła go o uczucie niezwyklej pełni, ponad którą unosił się szept ciepłego i nieustannego deszczu. Wszystko było piękne i jak gdyby skomponowane w obraz czy w utwór muzyczny. Lipa, opierająca się mokrymi liśćmi o dach i prawie o okno jego pokoju, miała kształt doskonale zrobionej powieści, dzielącej się przemyślnie na konary i uwieńczonej zielenią. Gdy poczynał się budzić z rana, do uspionej jeszcze świadomości przedzierały się dźwięki kropel, miarowo kapiących z dachu, i turkot wody, ściekającej rynną do podstawionej beczki. Mieszając się ze snem, muzyka ta przypominała dźwięki orkiestry, jakie czasem przygrywają nam w nocy. Wyobrażał sobie, że jest w olbrzymiej sali, gdzie jest mnóstwo ludzi, i że wszyscy oni słuchają szemrania instrumentów. Potem powoli, nie otwierając powiek, spostrzegął zieloną jasność, idącą od okien, potem przenikał go dreszcz z głębokiej rozkoszy istnienia. I tak zaczynał się dzień, zmierzający do końca zupełnie bez zdarzeń, ale przepełniony wewnętrznym światłem. [...]

W południe deszcz stawał się gęstszy, cięższy, bardziej przenikliwy i nie można było nawet podejrzewać, że za tymi obłokami, które tak nisko opadły nad sosny, jest słońce letnie i niebo niebieskie. Ale Staś nie szukał oczami niebieskiego nieba. Mogło się ono już mu nie ukazać nigdy, deszcz cieszył go i radował chłód, który przenikał go, gdy tak stał przy oknie i patrzył na szare welony mgły, wieszające się na czarnych gałęziach, omytych z kurzu sosen. Więc jednak znalazłem – powtarzał sobie na zmianę. I nie trzeba mu było zadawać pytania, co znalazł. Była to jakaś treść ukryta i niewyraźna, jakaś odwrotna strona, podszełka wszystkiego, co widział, drzew, domów, budynków, ludzi. Coś, co było tłem i istotą zarazem tego, a co napełniało go równą, niezmienną radością. Bał się, iż wszystko się zmieni przy pierwszym promieniu słońca, i z niepokojem śledził, czy się nie wyjaśnia. Ale deszcz równy, czasem tylko zmieniając swój rytm, uderzał o gonty dachu i strumyk, spływający z rynny do beczki, szemrał jednakowo głośno i gwałtownie.

J. Iwaszkiewicz, *Brzezina*, Warszawa 1987, s. 356–359.

Temat 2. Analizując i interpretując *Testament mój* Juliusza Słowackiego oraz *Non omnis moriar* Zuzanny Ginczanki, przedstaw sposób kreowania podmiotu lirycznego oraz sytuacji, w jakiej się on znajduje. Zwróć uwagę na językowe ukształtowanie obu tekstów.

### Juliusz Słowacki *Testament mój*

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami,  
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny,  
Dziś was rzucam i dalej idę w cień – z duchami –  
A jak gdyby tu szczęście było – idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica  
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia: –  
Imię moje tak przeszło jak błyskawica  
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy coście mnie znali, w podaniach przekażcie,  
Żem dla ojczyzny sterał moje lata młode;  
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,  
A gdy tonął – z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś – o smętnych losach zadumany  
Mojej biednej ojczyzny – przyzna kto szlachetny,  
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,  
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą  
I biedne serce moje spalą w aloesie,  
I tej, która mi dała to serce, oddadzą –  
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siądą przy pucharze  
I zapiją mój pogrzeb – oraz własną biedę:  
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,  
Jeśli Bóg [mię] uwolni od męki – nie przyjdę...

Lecz zaklinam – niech żywi nie tracą nadziei  
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;  
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,  
Jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec!...

Co do mnie – ja zostawiam maleńką tu družbę  
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;  
Znać, że srogą spełniłem, twardą bożą służbę  
I zgodziłem się tu mieć – niepłakaną trumnę.

Kto drugi bez świata oklasków się zgodzi  
Iść... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?  
Być sternikiem duchami niepełnej łodzi,  
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,  
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi:  
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,  
Aż was, zjadacze chleba – w aniołów przerobi.

**Zuzanna Ginczanka<sup>1</sup> *Non omnis moriar***

Non omnis moriar – moje dumne włości,  
Łąki moich obrusów, twierdze szaf niezłomnych,  
Prześcieradła rozległe, drogocenna pościel  
I suknie, jasne suknie pozostaną po mnie.  
Nie zostawiłam tutaj żadnego dziedzica,  
Niech więc rzeczy żydowskie twoja dłoń wyszpera,  
Chominowo<sup>2</sup>, lwowianko, dzielna żono szpicla,  
Donosicielko chyża, matko folksdojcera.  
Tobie, twoim niech służą, bo po cóż by obcym.  
Bliscy moi – nie lutnia to, nie puste imię.  
Pamiętam o was, wyście, kiedy szli szupowcy<sup>3</sup>,  
Też pamiętali o mnie. Przypomnieli i mnie.  
Niech przyjaciele moi siądą przy pucharze  
I zapiją mój pogrzeb i własne bogactwo:  
Kilimy i makaty, półmiski, lichtarze –  
Niechaj piją noc całą, a o świcie brzasku  
Niech złączą szukać cennych kamieni i złota  
W kanapach, materacach, kołdrach i dywanach.  
O, jak będzie się palić w ręku im robota,  
Kłębą włosia końskiego i morskiego siana,  
Chmury prutych poduszek i obłoki pierzyn  
Do rąk im przylgną, w skrzydła zmieniają ręce obie;  
To krew moja pakuły z puchem zlepi świeżym  
I uskrzydłone nagle w aniołów przerobi.

1942

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

<sup>1</sup>Zuzanna Ginczanka – właściwie Sara Polina Gineburg, poetka urodzona w Kijowie w 1917 r. w rodzinie żydowskiej, satyryczka z kręgu Skamandra i „Szpilek”, zginęła rozstrzelana w 1944 r. w Krakowie.

<sup>2</sup>Chominowa – nazwisko właścicielki kamienicy, w której Ginczanka mieszkała podczas pobytu we Lwowie w latach 1939–1942; Chominowa i jej syn Marian byli podejrzani o denuncjację poetki.

<sup>3</sup>Szupowcy (niem. *Schutzpolizei*) – funkcjonariusze niemieckiej policji, dokonującej podczas II wojny światowej pacyfikacji ludności krajów okupowanych.







**Brudnopis (*nie podlega ocenie*)**